

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Głowa konia.

Rysunek A. Grotgera.

KONKURS RYSUNKOWY.

Dalej panienci i chłopcy,
Do rąk ołówki i kredki,
I zanim termin upłynie
Przyślijcie robót swych setki!

Jeżeli komu w tym gronie
Nie obca malarska sztuka,
Niech również w szrankach tych stanie,
Słusznego uznania szuka.

Na turniej wszystkich wzywamy
Na turniej, zaszczytny turniej,
Abyście w swoim kształceniu
Szli coraz górnij i górnij...

Za przykładem lat ubiegłych ogłaszamy, czytelnicy „Wieczorów“, tak mile zawsze przez was witany konkurs rysunkowy i malarski. Konkurs ten ogłaszamy zarówno dla starszych, jak i dla młodszych, aby wszyscy mogli wykazać postępy, jakie w sztuce władania ołówkiem, kredką, węglem czy pędzlem poczynili.

A dla ułatwienia wam tego popisu swych umiejętności określiliśmy następujące warunki konkursu:

I. Dla starszych.

A) Przerysować w dwukrotnym przynajmniej powiększeniu „Głowę konia“ A. Grottgera lub też „Krajobraz“ J. Kossaka, zamieszczonych w tym numerze.

Uwaga. Kto chce i umie, może odpowiednio swe prace pokolorować wodnymi farbami, lecz to nie jest konieczne.)

B) Wykonać rysunek albo obrazek z natury lub fantazyi własnej kompozycji. Może to być też ilustracya do jakiej powieści, poematu lub bajki.

II. Dla młodszych do lat 11.

A) Przerysować dwukrotnie podany w dodatku dla dzieci rysunek, przyczem jeden z nich należy pocieniować tak, jak powinny wypadać cienie, gdyby światło padało od górnego rogu strony z lewej strony

B) Wykonać na kratkach rysunek własnego pomysłu. Może to być szlak, splatający się z kilku linii łamanych albo też jaka figura geometryczna lub wreszcie podobizna jakiego przedmiotu o prostych kształtach.

Uwaga. Rysunek może być cieniowany równoległymi liniami lub też zwyczajnie. Cieniowanie nie jest konieczne.

Tak brzmią ogólne warunki, co do poszczególnych to wypadnie nadmienić że dopuszczają się wszelkie istniejące sposoby wykonywania prac konkursowych, a więc nie tylko ołówkiem i kredką, ale również piórkiem, węglem, ołówkami lub kredkami różnobarwnymi, tuszem, farbami wodnymi i olejnymi oraz gwaszem.

Termin nadsyłania prac naznacza się na dzień 31-go sierpnia.

Do każdej pracy winno być dołączone nazwisko, wiek i adres; w nawiasie może być pseudonim, jeżeli kto nie chce, aby jego nazwisko ujawniono w druku.

Na paczkach lub kopertach z pracami konkursowymi należy robić dopisek: „Konkurs rysunkowy“.

Nagród będzie kilka stopni, zależnie od wieku uczestników, jakoteż jakości i ilości prac nadesłanych. Nagrodę honorową stanowią będzie reprodukcya rysunku w „Wieczorach“.

Dalej panienki i chłopcy,
Do rąk ołówki i kredki,
I zanim termin upłynie
Przyślijcie robót swych setki!

Redakcya.

Z. Morawska.

Przygody Imć Pana Mikołaja.

Powieść z XVI w.

(Ciąg dalszy).

— Wypowiadaj więc, przerwał surowym głosem wojewoda.

Mikołaj znów chrząknął, mrugnął drugim okiem i, skłoniwszy się jakby przed przeorem, mówił:

— Przewielebny ojcze przeorze, j. wielmożny wojewoda sandomierski a pan mój, przysłał mnie z powiedzeniem...

I wyrecytował bez omyłki jednym tchem dane zlecenie.

Tęczyński wysłuchał cierpliwie, a Mikołaj wykreściwszy się jakoś z powtórzenia nazwiska, które przepomniął, stał teraz z miną człowieka, który zaszczytnie spełnił swoje zadanie.

Wojewoda zaś popatrzwszy nań surowo, rzekł:

— Wiedz o tem raz na zawsze, że tego, co ci polecono powtarzać nie wolno nikomu, prócz temu, do którego jedziesz z gębą¹⁾.

Mikołaj się skłonił a, przyłożywszy rękę do serca, mówił z wielką powagą:

— Boga mi, — język nazwyczałem, by mówił jeno to, co mu głowa a serce dyktuje, — poza tem kołowaty do ena!

Tęczyński uśmiechnął się znów na to zapewnienie, które chociaż dworne, nie licowało z obyczajem na jego dworze będącym, — nie rzekł nic wszakże nie wziął za obrazę, jeno skinął ręką i rzekł:

— Pośpieszaj.

Pośpiech rzeczywiście był konieczny, bo po bohaterskiej śmierci Ludwika, ces. Ferdynand, jako jego szwagier, czyhał jeno na zagrabienie korony czeskiej i węgierskiej.

Nie uśmiechało się to ni Czechom ni Węgom, mimo więc paktu wiedeńskiego z r. 1515 wytworzyło się na Węgrzech stronnictwo narodowe z Janem Zapolją na czele, nie mające najmniejszej ochoty dostania się w szpony niemieckie. Że zaś Polska nie mogła sobie życzyć i nie życzyła utracenia przewagi nad temi państwami, szukano w niej sprzymierzeńców.

Słał więc Ferdynand gońców i potajemnymi listami przez krewniaczkę swoją, a chętną zawsze do intryg królowę Bonę, chciał sobie przejednać Zygmunta I. — Słał też i Zapolja do panów radnych, ażeby popierali jego kandydaturę na tron węgierski.

W tym celu miał wkrótce przybyć do Polski, a Tęczyński powiadomiony o tem, słał znów z wieścią do jednego z największych

1) Wyrażenie ówczesne, oznaczające ustne zlecenie.

Zapolii przyjaciół, przewielebnego przeora Paulinów w Częstochowie.

Przeor Marlinuzzi, jakkolwiek Włoch, nie podzielał dążności swojej rodaczki, królowej Bony,—nienawdził Niemców, z Zapolją wiązały go bardzo serdeczne stosunki i całą duszą pragnął mu dopomódz.

Wdanie się w tę sprawę przeora było bardzo pożądane, jako bowiem człowiek wysokiej nauki i wielce gładki, wiedział, jak do kogo przemówić. Jedną więc niemało stronników Zapolii,—nie więc dziwnego, że najpierw z tą wieścią szła do niego Tęczyński.

Mikołaj, otrzymawszy polecenie, urósł wielce w własnym mniemaniu.

Przy obiedzie nie spał dykteryjek, a towarzysze żartowali z niego:

— Przy piątku postanowił sobie umartwienie!

— Może i kaptur włożę i mnichem ostane,—odrzekł z wielką powagą, przełykając postną polewkę.

I dalej nic już na żarty nie odpowiadał.

Układał jeno sobie, jak to ku Nagłowicom skręci i najpiękniejsze konie i najwspanialsze siodło u rodzica uprosi, Pietrka przywiezie i wspaniałością swoją towarzyszy zadziwi.

Nie wiedział jeno, jadąc, czy wracając Nagłowice nawiedzi, ale że nawiedzi, to pewno.

— Żeby tak i za zwierzem pogonić, a choćby kilka szaraków albo i rybek przywieść, tożby była uciecha.

I do tej uciechy uśmiechał się zawczasu, mrugając to jednym to drugim okiem.

Zaledwie też przełknął obiad, a bodaj i wąsików zdążył omusnąć, nie baraszkując i nie zabawiając się, wybiegł do stajen.

— Mój mości, proszę o konia,—rzekł prosto z mostu.

Masztalerz spojrział nań ciekawie.

— Nim swoją stadninę, swego masztalera i kilku koniuchów sprowadzę, j. wielmożny wojewoda pozwolił mi używać swych koni i jego ludźmi się posługiwać.

Masztalerz miał już rozkaz wydania nowicyuszowi konia, nic więc nie mówiąc, kazał wyprowadzić na pozór nie osobliwego podjezdka, z siodłem arcy prostej roboty, a drugiego jeszcze mniej pozornego, samodziłem jeno z podściółką ze słomy przykrytego.

Mikołaj skrzywił się, ale obszedł pierwsze konia, obejrzał nogi, zajrzał w ślepie, rękę położył na zadzie, a uczyniwszy tak szczegółowe oględziny, rzucił jeno okiem na drugiego, poczem kiwnął głową i rzekł:

— Niepozorne ale nogi mają mocne, nasadę silnie zbudowaną, ujdą w podróży.

— Znasz się, jak widzę, młodzieńcze na koniach!—ozwał się masztalerz, klepiąc go po ramieniu z poufałością starego sługi.

— Pii,—nie jednego już ujeździłem, a mam też takiego, co jak świsnę, to mu skrzydła wyrastają, a skry nietylko z pod kopyt ale z oczu się sypią!—odrzekł Mikołaj, rozglądając się, jakby nie był dworzaninem ale samym j. wielmożnym wojewodą.

— Znam ja takich źdzców i takie konie,—odparł pobłaźliwie masztalerz.

— A pacholek?—spytał Mikołaj, nie wdając się w dłuższą gawędę.

— Pojedzie ten, co konia trzyma,—odparł masztalerz takim głosem, który nie znosi żadnego protestu.

Spojrzał też chłodnym wzrokiem na Mikołaja i poszedł do swojej izby, nie chcąc dalszej rozmowy prowadzić.

— Trafiła kosa na kamień!—Hardyś ty widzę, ale i ja przed młokosem głowy nie uchyle,—myślał sobie masztalerz, który był również z rodu szlacheckiego, zwał się Ludger Biel i na niejednej wyprawie razem z wojewodą głodu i chłodu już zaznał. Mikołaj, widząc jeno samą niższą służbę tajenną, choć i takimi nie gardził, dziś uważał za stosowne nie wdawać się z nimi w rozmowę. Krzyknął więc na pacholka:

— Podawaj!

I włożywszy nogę w strzemię, nader zręcznie wskoczył na konia.

Pacholek toż samo uczynił i obaj nie czekając opuścili podwórzec zamkowy.

Jesienne słońce zamigotało kilkakrotnie bladym promieniem i wkrótce mrużyć je zaczęło, jak czyni człowiek znużony przed udaniem się na spoczynek.

Aż nareszcie przykrywszy się mgłą jesienną, zniknęło zupełnie z przed oczu naszych podróżnych.

Ukazał się za to księżyc z wykrzywioną, cierpiącą snąc na srogą fluksyę twarzą, lecz mimo tego cierpienia przedzierający się dość jasno przez mgłę opadającą ku ziemi.

Mikołaj znalazłszy się za murami miasta, pełną pierś odetchnął. Wrażliwy na piękność przyrody, wchłaniał w siebie powiew wiatru wraz ze mgłą i chłodem jesiennego wieczoru.

Zdawało mu się, że nie koniowi, ale jemu skrzydła wyrosły. a zarazem w piersi grało uczucie wdzięczności dla Tęczyńskiego, że mu powierzał znaczną sprawę *na gębę*, a zarazem czuł się dumnym i w własnym przekonaniu urastał.

Jednocześnie jakiś głos wewnętrzny mu szepnął:

— I ty śmiesz nadużyć tego zaufania i do Nagłowic skręcić?

Uśmiechnął się sam do siebie i usprawiedliwiając się, rzekł:

— Jadę przecież po konie, ryszstunek i pacholka.

— Nie mogłeś to prosić o pozwolenie?—szeptał mu głos znowu.

Poskrobał się za uchem z wielkiego zakłopotania, a dla dodania sobie fantazyi, przekrzywił rogatywkę i mrugnawszy to jednym, to drugim okiem, myślał:

— Zaraz tam prosić o pozwolenie,—pół doby, a choćby całą dłużej, cóż to wielkiego...

— Czy wiesz, co możesz przez to popsuć?—szeptał mu głos uparty.

— Eh, głupstwo! zawołał—głośno i przy-naglił koma do biegu.

— Niepoń jesteś!—szeptał mu wciąż ów głos, nie dając spokoju.

— Oo!—obruszył się młodzieniec.

Drogi się w tej chwili na trzy strony rozchodziły.

Jedną boczną znał doskonale.

Prowadziła do Nagłowic.

Przed nim rozścielał się szeroki gościniec, o którym słyszał, że wiedzie do Częstochowy.

Serce mu kołatało chęcią ujrzenia rodzica, przypomnienia sobie chwil bezmiernej swobody, przyszła mu na myśl zmarła macierz, westchnął też serdecznie i rzekł, usprawiedliwiając się przed sobą.

— Choćby dla odwiedzenia grobu ukochanej matki winienem do Nagłowic.

I postanowił w tę stronę konia skierować.

— Jesteś łgarz i przechera, pilno ci, ale nie do macierzy! Więcej się duch jej rozraduje, żeś spełnił coś winien, niż z twoich odwiedzin,—szepnął mu głos z wielką stanowczością.

— Hm... pomyślał Mikołaj i dla pozbycia się pokusy, zwrócił głowę na trzecią drogę, która wcale go nie obchodziła.

Tuż przy jej zbiegu stała niepozorna gospoda, a przed nią kręciło się kilku ludzi dość leniwie i leżał wóz ze złamanym kołem, wzywając poratowania.

— A gdyby tak którego pchnąć do Nagłowic... pomyślał.

— Jadę z gębą to i z gębą mogę wysłać.

A też i koniom należy się wypoczynek—dodał.

I nie namyślając się, zajechał przed gospodę.

— Pojedziesz do Nagłowic! — począł z kopyta.

— Do Nagłowic?—spytał chłop, przypatrując się ciekawie.

— Tak do Nagłowic — powtórzył Mikołaj.

— Kiej mi z drogi...

— Zapłacą ci tam za mitręgę, a i ja dodam — zachęcił młodzieniec.

Chłopi, jako że byli z królewskiej, butne mieli miny, a też i niezbyt chętni do posługi pierwszemu lepszemu spotkanemu na drodze... — szepnęli między sobą.

— Jakiś z pańskiego dworu... rzucił któryś, przyglądając się jeźdźcom.

— Do Nagłowic jeno pół doby, a nim wóz naprawią możeby i dojsć,—zrobił inny uwagę.

— Który idzie? — zapytał rozkazującym głosem Mikołaj.

Chłopi spojrzeli na siebie porozumiewająco.

— Niechaj będzie ten — rzekł najstarszy wskazując na chuderlawego wyrostka.

— Jak szkapa, co trzy dni bez obroku sochę ciągnie... pomyślał sobie Mikołaj, a głoszno zapytał:

— Dobieżysz?

— Z czem?—spytał chłopak, zwracając małe ale mądre oczy.

— Z gębą, — odrzekł Mikołaj.

I przybrawszy taką minę jak' wojewoda, gdy mu dawał polecenie, rozkazywał:

— Uważaj jeno, żebyś dokumentnie powtórzył.

Chłopak skinął głową.

— Pojedziesz do Nagłowic, do dwora, zameldujesz się do samego dziedzica wielmożnego Reja.

— Wielmożnego Reja... powtórzył chłopak.

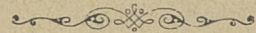
Mikołaj skinął głową i dalej rozkazywał:

— Powiesz, że cię przysyła syn jego Mikołaj i prosi, żeby jegomości przysłał mu najpiękniejsze dwa konie z ryszunkiem do Krakowa, a także i pacholka.

— Bo to mi uwierzą? — spytał chłopak, machnąwszy ręką.

— Abo i Kraków takie wielgie miasto, będą to wiedzieli, gdzie kogo szukać... — wtrącił inny.

(d. c. n.)



Czworolist czyli jednojagoda.

W czerwcu i lipcu znaleźć można w cielistych a wilgotnych lasach i gajach niepozorną i niewysoką roślinkę, która jednakże zwraca uwagę swą foremnością.



Czworolist czyli jednojagoda: *a*—łodyga z liśćmi i jagodą, *b*—kłącze z wyrastającą łodygą, *c*—kwiat (bez słupka), *d*—jagoda całkowita, *e*—przecięta dla pokazania komór.

Na prosto wzniesionej łodyżce siedzą cztery dość spore liście kształtu podługowatego,

Grzebień Maniusi.

— Proszę pani, ja dziękuję za służbę — już od 1-go nie będę — mówiła Julcia, pokojówka, stając przed panią Wolską.

— Dlaczego nie będziesz? Czy znalazłaś sobie [lepszą służbę? — spytała pani z widoczną przykrością. — Byłam z ciebie dotąd zadowolona i myślę, że ty także nie masz powodu uskarżać się, że ci źle tu było.

— O wcale nie, proszę pani, całuję rączki za wszystko — było mi bardzo dobrze. Państwo delikatni i utrzymanie mam dobre — ale ja niby przez to... że to, niby panienka...

— Jakto, odchodzisz z powodu Maniusi? czy ci dokuczyła? powiedziała co przykrego?

— Nie o to, proszę pani, bo ja nie jestem biorąca do serca — a zresztą panienka też dobra i przez cały dzień nigdy nie przykrego nie powie — ale co rana przy czesaniu, to mam takie utrapienie, że już mi się to uprzykrzyło. Jeszcze grzebienia nie włożyłam we włosy, a panienka już krzyczy: a szarpiesz mnie, a ciągniesz, a ja przez ciebie wyłysiej! Z zaplataniem warkocza druga komedia, zawsze to za wolno, to za ciasno — to znowu panienka wyrzeka: Ty mi nigdy nie zrobisz modnej koafiury — bierzesz się do czesania, a nie umiesz! — Ja proszę pani słucham. słucham, aż mi w końcu cierpliwości brakuje — przecie się człowiek stara, jak może — ale naszej panience toby i fryzyer nie dogodził. I przez to ja, proszę pani, chociaż mi bardzo żal...

— Jeżeli tylko z tego powodu chcesz odejść, to pomówimy o tem jeszcze. Może Maniusia się poprawi i przestanie kaprysić.

— Jeszcze owszem, proszę pani, jabym bardzo chętnie została, żeby nie ten codzienny kłopot z czesaniem.

Ledwie Julka wyszła z pokoju, mama zawołała Maniusię.

— Moje dziecko, chcę ci powiedzieć, że od jutra będziesz się sama czesała. Julka i tak nie umie ci dogodzić.

— Ach mamusiu, bo ona okropnie niezgrabna — wszystkie włosy mi powyrywa.

— To też właśnie spróbuj sama, może lepiej potrafisz. Ja, jak wiesz, nie mam czasu z rana, a Julka powiedziała, że już lepiej nie może. Chciała nawet odejść ze służby, byle cię już nie czesać.

Manusia zaczerwieniła się ogromnie, bo przypomniała sobie, że dziś rzeczywiście była dla Julci przy czesaniu bardzo niegrzeczna. A że to była dobra dziewczynka, więc przykro jej się zrobiło. Może i lepiej czesać się samej, bo to jakoś tak niecierpliw, gdy nas ktoś



Wzór do konkursu rysunkowego dla młodszych.

(p. numer główny.)

z tyłu pociąga za włosy, że doprawdy wytrzymać trudno. Tylko czy potrafi czesać się sama? Ale czemuby nie? przecie to musi być łatwo! Każda prosta, wiejska dziewczyna sama się czesze, a Manusia, co ma takie zgrabne paluszki, umie nimi przebierać na fortepianie i wyszywać na kanwie, czyżby nie potrafiła zapleść sobie warkocza? Potrafi — jeszcze i jak! daleko delikatniej i zgrabniej niż Julka.

Nazajutrz rano Manusia umyła się dziwnie prędko, tak jej pilnie było do owej próby

z czesaniem. Stała przed zwierciadłem, rozplotła włosy i chwilę z przyjemnością przypatrywała się sobie, myśląc:

— Jaka to szkoda, że nie można chodzić zawsze z rozpuszczonymi włosami! toby było najładniej i najwygodniej; nie trzebaby się nigdy czesać.

A grzebień, który znał ją dobrze, bo przecież już od dłuższego czasu pozostawał w styczności z jej główką, odrazu odgadł co myślała i szepnął z cicha do sąsiadki, szczotki:

— Jaka próżna a niemądra dziewczynka! zdaje jej się, że bardzo ładna z temi rozpuszczonymi włosami, a nie wie, że gdyby pochodziła tak ze dwa dni, nie czesząc się, to stałaby się podobną do stracha na wróble.

— Dziecko jeszcze — szepnęła pobłaźliwie szczotka.

Manusia przyjrawszy się dowoli w zwierciadle, wzięła się do rozczesywania włosów — ale niestety, wkrótce przekonała się, że nie jest to wcale tak łatwe, jak się jej zdawało.

Włosy były długie a splątane, jakby je kto umyślnie powiązał w węzłki. Manusia czesała z początku ostrożnie, potem coraz gwałtowniej; choć skóra bolała ją daleko więcej niż przy czesaniu Julki, choć na grzebieniu tworzył się coraz to większy pęk wyrwanych włosów, nie zważała na to, tylko szarpała jak mogła, żeby dojechać grzebieniem do końca włosów. Ale to nie pomagało, włosy splątały się coraz bardziej, aż nareszcie jedno pasemko zwinęło się tak, że Manusia z największą trudnością wyrwawszy grzebień z garścią włosów, rzuciła go z gniewem na ziemię i, płacząc, wybiegła z pokoju.

— Już po mnie! — jęknął grzebień, padając na podłogę, i rzeczywiście przełamał się na dwoje.

— Ależ to waćpan masz kruche życie — zauważyła szczotka — wiele ja razy byłam na ziemi i nawet nie pękłam. Prawda, że umiem trochę gimnastyki i staram się zawsze padać na stronę pokrytą szecziną, więc w ten sposób jestem zupełnie zabezpieczona od wypadku.

— Zapewne, kto się składa z drzewa i świńskiej szecziny, może być o siebie spokojny; ale kto jest „delikatniejszego pochodzenia“ ma też i delikatniejsze zdrowie — odrzucił grzebień uszczypliwie, dotknięty uwagą szczotki.

— Nie miałam wcale zamiaru obrazić pana. Co do pochodzenia, to jestem przekonana, że wszystko jedno, kto skąd pochodzi, byle dobrze swoje robił na świecie. Ale zresztą, bardzo chętnie posłucham, skąd pan swój ród wywodzi; tembardziej, że zapewne niedługo

wyrzucą pana na śmiecie, warto więc, żebyśmy się przed rozstaniem bliżej poznali.

Szczotka ani domyślała się nawet, że tym razem znowu obraziła swego nieszczęsnego sąsiada wzmianką o śmieciach. Była bardzo prosta i nie wykształcona, być też może, iż to właśnie dzięki niej, powstało przysłowie: drapie jak szczotka — bo miała taką naturę, że nawet gdy chciała pogłaskać kogoś, zawsze go, choć lekko, udrapała.

(d. c. n.)



Baśń o kocie w butach.

(Dokończenie.)

III.

A kot śpieszy się tymczasem
I do zamku czarownika,
Co na drodze stał pod lasem
Ile starczy sił pomyka.

A czarownik był to wielki,
Jaką zechciał, mógł mieć postać
I zamieniać się w twór wszelki,
Muchą lnb niedźwiedziem zostać.

Znał i inne różne czary,
Lecz używał ich ku złemu.
Młody bał się go i stary,
Bo dokuczyć mógł każdemu.

Kiedy kot przed czarownikiem
Staął, rzecze tak do niego:
„Prawią ludzie, że pewnikiem
W lwa się zmieniasz straszliwego:

Racz pokazać, ja nie wierzę.“
Więc czarodziej rzekł zakłęcie —
Wnet przed kotem straszne zwierzę.
A kot miauknął: zginę święcie!

I co tchu na dach ucieka,
Mało buty mu nie spadły,
Ale znowu się w człowieka
Z śmiechem zmienia lwa zajadły.

Kot powraca i powiada:
„No tak, w lwa się zmieniasz śmiało,
Lecz trudnaby była rada
Być naprzykład myszką małą.“

— „O, nie trudna!“ Z zakłéc słowy
Postać myszki wnet przybiera;
Kot do skoku był gotowy,
Cap i myszkę już pożera.

ułożone w okółek, a z pomiędzy nich na długiej szypułce wznosi się kulista czarno-błękitna jagoda, ubrana w spiczaste, zeschnięte listki kielicha.

Błękitne jagody w lesie, to zawsze rzecz pożądana. Któż nie jadał czarnych jagód! Ale kto także nie słyszał o słynnej wilczojagodzie czyli belladonie, która wygląda dość pięknie, chociaż nieco podejrzanie, jest zaś bardzo silną trucizną?

I ta niewiele jest lepsza od niej. Wspomniana roślina we wszystkich swoich częściach należy do jadowitych, a nosi właściwą nazwę czworolistu czyli jednojagody, ma bowiem cztery liście a tylko jedną jagodę. Zresztą, chcąc być ścisłym należy dodać, iż niekiedy miewa 5 liści, ale jagodę zawsze jedną. Jest mięsista i zawiera wewnątrz cztery komory, napełnione nasionami (p. ryc.).

Kto wydaje jedną tylko jagodę, miewa też zwykle i jeden kwiat. Tak właśnie ma czworolist. Kwiat jego jest również niepozorny, jak i cała roślina: składa się z 8 działek wąskich spiczastych (p. ryc.), 4 zewnętrzne są zielonkawe i znacznie większe, 4 wewnętrzne żółtawe i mniejsze. Z pośród nich sterczy 8 pręcików i jeden słupek o 4 szyjkach.

Jak widzimy, roślina ta lubuje się w czwórkach, bo wszystko ma poczwórne. Ale co jest ciekawsze, że gdy się trafi okaz o 5 liściach, to wówczas wszystko idzie piątkami: kwiat ma 10 działek: 5 zewnętrznych i 5 wewnętrznych, pręcików również dziesięć, słupek ma 5 szyjek, a jagoda 5 komór. Dziwna symetria i prawidłowość, jakby umyślne trzymanie się pewnej liczby. Zjawisko takie jest zresztą bardzo pospolite wśród roślin.

W każdym razie warto jest wybrać się do lasu w maju lub początkach czerwca, kiedy właśnie kwitnie czworolist i sprawdzić własnymi oczami, jak wygląda ta symetryczna roślina, w miesiąc później wyszukać i obejrzeć jej jagodę, żeby poznać dokładnie i nie wziąć przypadkiem do ust i skosztować.

Roślina to dość pospolita u nas, a trzyma się wytrwale miejsca gdzie wyrosła, ma bowiem podziemne kłącze (p. ryc.), z którego corok wypuszcza nową łodygę z liśćmi i kwiatem. Znaleźć ją można prawie w każdym lesie i gaju wilgotnym, nie rośnie jednak nigdy zbyt licznie, lecz jest zawsze zrzadka rozsiana! Kto wydaje po jednym tylko owocu, ten nie może rozplenić się zbyt obficie.

Czworolist należy do rodziny szparagowatych wraz z jadalnym szparagiem i ładną konwalią; niegdyś miał zastosowanie lecznicze dla swych ostrych soków, dziś jest rośliną zu-

pełnie bezużyteczną, a niebezpieczną dla tych, co nie znają jej własności jadowitych.

B. Dyakowski.



OBRAZY z dziejów piśmiennictwa polskiego.

12. Bartosz Paprocki.

(Dokończenie.)

Bardzo mile brzmi podanie o herbie Nowina. Ubogi syn kotlarza, za cnotliwe czyny nobilitowany, przyjmuje herbową oznakę, nazwiska jednak zmienić nie chce. Nie wstyd mu skromnego pochodzenia, w cudze piórka nie pragnie się stroić. Ojciec wśród towarzyszy cechowych jako Nowina był znany i on więc Nowiną pozostanie pośród szlacheckiej braci.

Nie tak chlubnem jest pochodzenie herbu Łżawic i ten co go zdobył, nie zasłużył u potomnych na zbyt wdzięczne wspomnienie. Postawiono biedaka na czatach, by obóz od nagłej napaści wroga ustrzedz. Noc była ciemna, rycerzowi kleiły się oczy, przytem serce zajęcze trochę, na ramieniu mu siedziało. Nic też dziwnego, że gdy sen go zmorzył, przyszły brzydkie jakieś mary i majaki i oto zdało mu się, że nieprzyjaciel uderza. Co tchu więc w trąbkę na alarm zadzwonił i towarzyszy pobudził. Wróg tymczasem spał w najlepsze i o napaści nie myślał zgoła. Niefortunny wartownik, wyśniany za tchórzostwo, musiał na pamiątkę mimowolnego kłamstwa herb Łżawic od króla przyjąć.

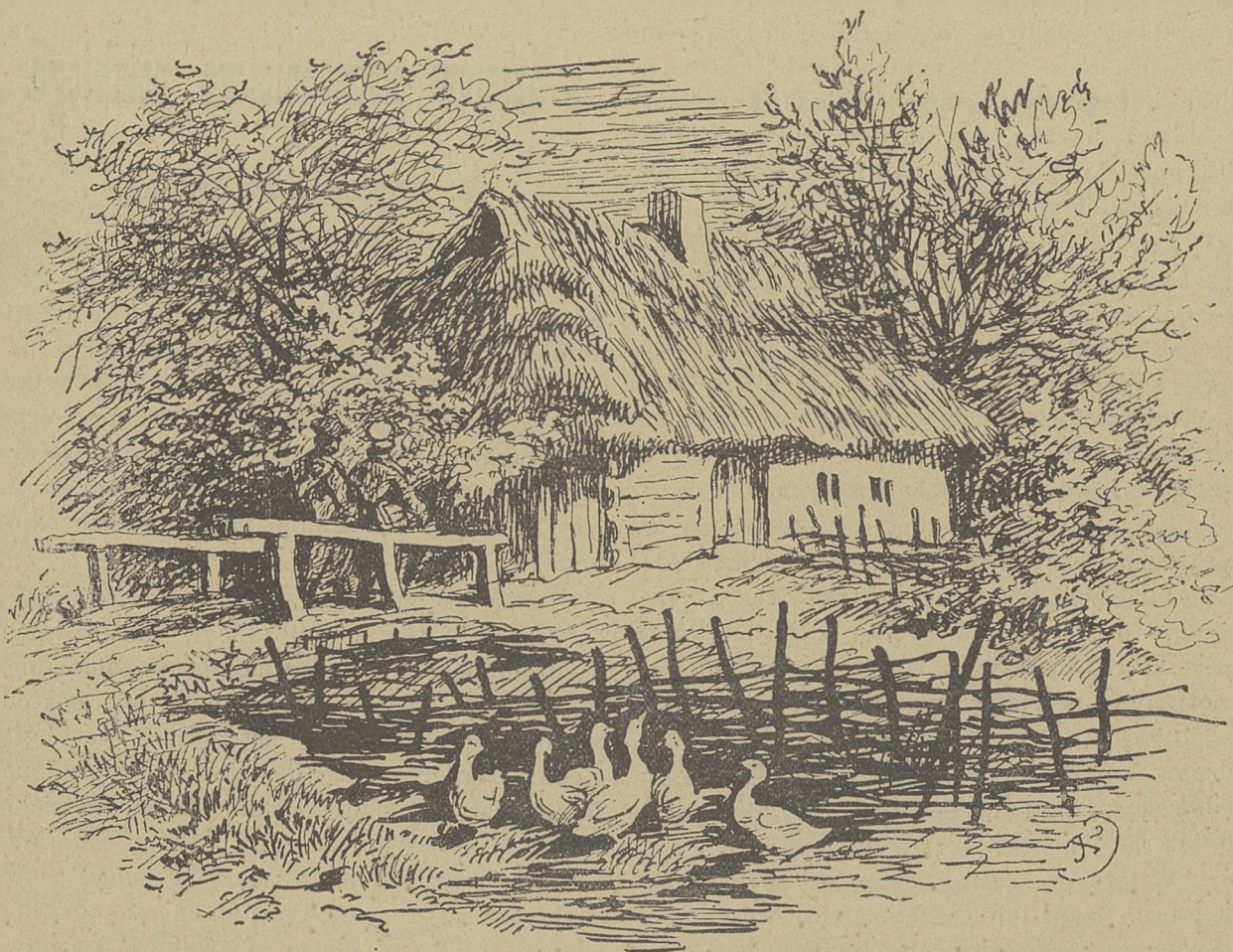
Brak mi miejsca, by dłużej o podaniach szlacheckich mówić z wami. Kto je bliżej zechce poznać, niech w przyszłości do pism Paprockiego zajrzy. Znajdzie tam, obok treści obfitej, wizerunki ciekawe, z wiernością zupełną herb każdy przedstawiające.

Pisarz nasz mocno wierzy w dostojność szlactwa i w niewzruszoność praw jego. Podział ludzi na dobrze i źle urodzonych istniał jego zdaniem z dawien dawna. Kto podziałowi temu dał początek? Co do tej ostatniej kwestyi ma pan Bartosz pewne wątpliwości. Nie po-

daje też własnego zdania w tym względzie, jeno przytacza, co u innych wyczytał. A zatem według jednych godność szlachecka powstała zaraz po stworzeniu świata, „gdy były podzielone narody i Godność miała pierwszeństwo przed Prostotą“. Drudzy dowodzą, że przekleństwo Noego dało powód do podziału rodu ludzkiego. Są wreszcie i tacy, co całą sprawę wywodzą od zburzenia wieży Babel, „kiedy ludzie pogrążeni w grzechu wybierają sobie męża mądrego na kierownika, a ten według swej woli ma prawo za cnoty tytuł „no-

swych poglądów, staną się one dla tych, co po nim przyjdą i co przyszłość badać zechcą, kluczem do tejże przeszłości.

Pomimo głębokiej wiary w wartość rodowego klejnotu, Paprocki rozumie dobrze, że szlachectwo na zasługach przodków jeno wsparte, a własną pracą nie wspomóżone, czczym znakiem tylko będzie. Więcej według niego wart ten, co cnotliwymi czynami herbu się dobije, nazwisko swe uczyni, od tych, co w chwałę ojców, jak w cudze piórka się stroją. A zatem:



Chata wiejska.

Wzór do konkursu.

Rysunek J. Kossaka.

bilis“ dawać“. To pewne jednak, że herb posiadał już Ozyris egipski, miał go też nasz Lech, który początkowo Ciołkiem się pieczętował, potem zaś przyjął znak Orła, gdy go w gnieździe z pisklęty znalazł.

Niejeden z nas uśmiechnie się, czytając te bajki, niejeden ramionami wzruszy i zapyta, jaką też mogą mieć wartość prace tak naiwnego pisarza? Odpowiem wam, że ogromną. Człowiek nie żyje sam. Wzrasta on wśród ludzi, wśród nich się rozwija. Dusza jego jest więc prawie zawsze odbiciem duszy narodu, co go w danej chwili na świat wydał. Gdy więc w pismach zostawi niesfałszowany wizerunek

„Masz już stateczną i pewną naukę,
Do sławy nieśmiertelnej nieomylną sztukę:
Chociaż będziesz rodzaju ze wszech najgrubszego
Cnota to cię uczyni każdemu równego,
I tak naśladuj tych, którzy w swej zacności
Żywoć wiedli szlachetny w wielkiej pobożności,
Tedy się nieomylnie z ich żywotów sprawisz,
Jako swojej zacności i herbu poprawisz.
Nie wstyduj się, że przodka twego szwecem zwano,
Któremu ten twój klejnot najpierwej nadano,
Ale się chlub bezpiecznie, iż przodki tve cnota
Wyniósłszy, pozbawiła nędznego żywota.
Ciebie ze wszem zrównała z stany wielmożnymi,
Nie bogactwem — sprawami twemi pocziwemi“.

A dalej dodaje:

„Jeślić cię sama cnota zacnym nie uczyni
A sławy, szlachetności dobrej nie przyczyni,

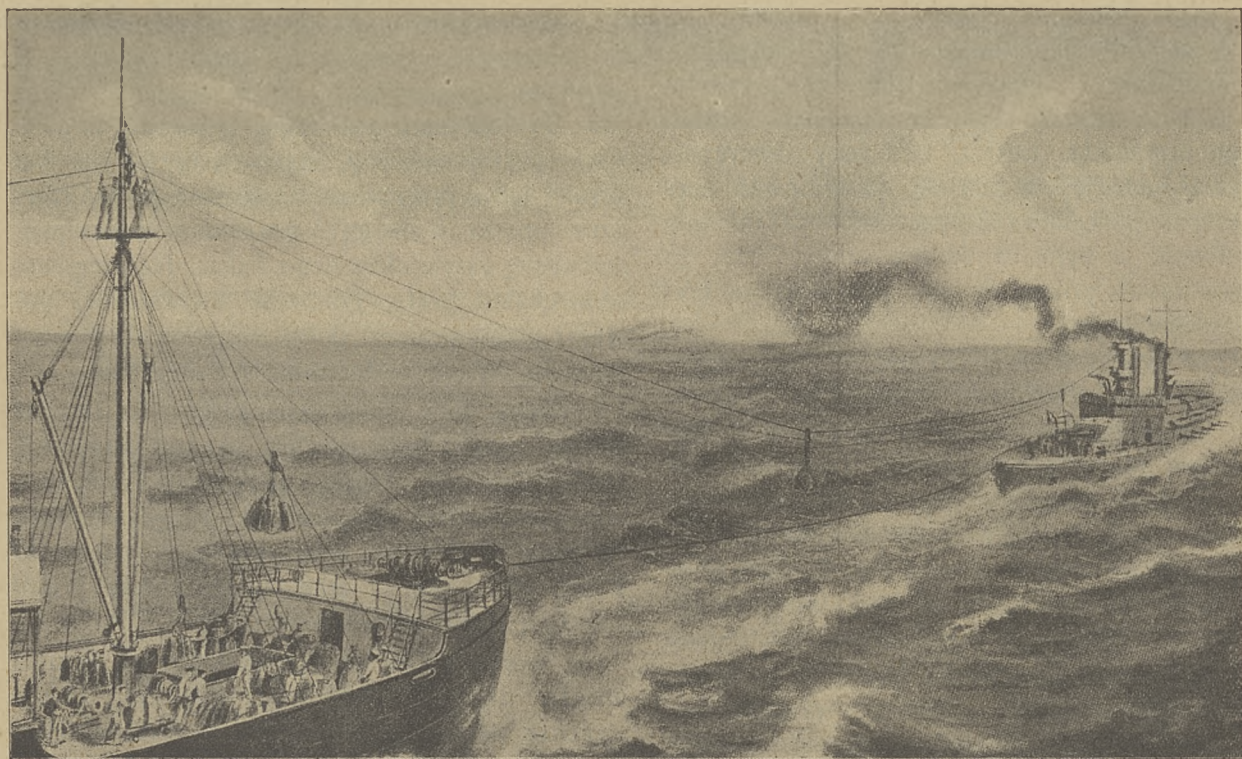
Nie pomoże ten klejnot na twej ręce złoty,
Kiedy wewnątrz nie znajdzie i za szeląg cnoty.
Szlachcic dla spraw szlachealnych wiedz, iż jest nazwany.

Wszak prawda, że mądre te i dobre słowa dają Paprockiemu do szacunku naszego zupełne prawo.

Utwory wierszowane pisarza naszego nie mają, jak już wspominałam, wybitnej wartości. Poetą nie był, daru pięknego i żywego słowa nie posiadał. Należy jednak pamiętać o zbiorciu bajek, wydany, jako „Koło rycerskie, w którym rozmaite zwierzęta swe rozmowy mają“. Bajki te są w znacznej części na-

Na zakończenie chcę wam przytoczyć utwór, w którym Paprocki zamknął całą swą żołą i niechęć do niewieściego rodu. Dziesięcioro przykazania mężowe, a jaka treść tych przykazań, sami z urywku osądźcie:

„Proszę, abyś przestrzegąła
Zbytich strojów i pstrocin byś na się nie brała,
Też pierścieni na rękę wiele nie nosiła,
U szat zbytich ogonów abyś nie włożyła,
Boga takimi zbytki bardzo obrażamy
I sami w niepotrzebną szkodę się wprawiamy,
Bo nie złoto, nie szmaragd, nie perły cię zdobią,
Cnota tylko nie ogon, co chrześci za tobą,
A nadewszystko proszę pilnie miła żono,
Gdy ja mówię *golono*, nie mów ty *strzyżono*.



Ładowanie węgla na okręty wojenne na morzu. (p. „Ze świata“.

śladowane z Ezopa. Jest jednak i trochę oryginalnych. Oto macie jedną dla przykładu:

Boże drzewko i zając.

Boże drzewko ma ten dar, od Boga nadany —
Wypadnie tarń, gdy go kto przyłoży do rany.
A przeto jeden zając, przyszedłszy do niego,
Prosi, aby wyjęto drzazgę z nogi jego.
Mówiąc: o dusz lekarzu i ciała ludzkiego,
Proszę, poratuj mię też, zwierzka zbołałego,
Wyjmij drzazgę z mej nogi. Drzewko się przymknęło,
Zmiłowawszy się nad nim, i tarń mu wyjęło.
Zając zarazem zdrowy i wesoły się stał
A drzewko to życzliwe nagrodzić obiecał.
Nie zapomniał obietnic. Zawsze rano wstawszy,
Na swą wełnę czyściutkiej wody z rzek nabrawszy
Biegł do onego krzaczka, pokrapiał zwiędłego
A tem zawsze odmładzał słabe różdżki jego,
Mówiąc, iż się to godzi zawsze cnotliwemu
Nagradzać dobrodziejstwo uczynione jemu“.

Na końcu Paprocki udziela głosu i żonom i pozwala im na pytania mężowe odpowiadać.

Z ostatniej jednak konkluzji wynika, że jest on nieubłagany wrogiem kobiet i przypisuje im wyłącznie obowiązek posłuszeństwa — prawo rozkazywania mężczyznom zostawiając.

Darujmy mu tę niesprawiedliwość. Musiała mu pani Kossobudzka srodze dokuczyć, skoro taką nienawiść do całego rodu niewieściego w sercu zachował.

M. Dynowska.



Wawrzyniec Zeal.

— i x i —

TALIZMAN WŁADZY.

Przekład M. G.

ROZDZIAŁ XX.

Co znalazłem przy mogile wśród lasu.

Dwa dni podróży naszej po Pei-ho minęły bez żadnych zdarzeń, oprócz zmian w stanie mego towarzysza, walczącego ze śmiercią.

Kula naruszyła mózg i zrazu zdawało się, że *Numer Ósmy* jest zgubiony. Ale przypadkowe spotkanie z angielskim lekarzem, płynącym na jednej z dżonek, które nas dopędziły, ocaliło mego przyjaciela. Lekarz, zrobiwszy opatrunek, powziął nadzieję, że uda się go uratować przy starannem pielęgnowaniu: czuwaliśmy też nad nim troskliwie, a było to smutne zajęcie. Gdy go wnoszono na pokład dżonki, słyszałem jak bredził nieprzytomny.

— Spieszcie się... Ta dżonka co przepłynęła... *Trzej... Talizman Władzy...*

Pospieszaliśmy też o ile było można, stosując się do rozkazów rannego. Kulisowie, którzy w czasie bitwy przyczaili się za łodzią, powrócili — choć niechętnie — do holowania, i posuwaliśmy się prędko po wodzie. Pożegnaliśmy się serdecznym uściskiem dłoni z amerykańcami, którzy w towarzystwie Japończyków, mieli pozostać na miejscu, dopóki nie nadciągnie silniejszy oddział przeznaczony do służby wywiadowczej po obu brzegach rzeki. Musieli też opatrzeć rannych i pogrzebać zabitych. My zaś mieliśmy powody do pośpiechu, tembardziej, że konwoje wymijające nas, doniosły o dotarciu wojsk Sprzymierzonych już do Tung-Chow, skąd tylko trzy dni drogi do Pekinu: chcieliśmy zatem dopędzić wojsko, żeby wziąć udział w szturmie.

Procz tego, zagnała nas do pośpiechu owa tajemnicza dżonka, która odpłynęła z pośpiechem w chwili zamieszania, gdy odsiecz nam nadeszła. Że ta dżonka należała do naszych nieprzyjaciół, nie podlegało wątpliwości, i nie mogłem pozbyć się podejrzenia, że ten, kto ukradł *Talizman Władzy*, jest na jej pokładzie. I dlatego tem więcej nagliłem niechętnych holowników; doprowadziłem wreszcie do tego, że posuwaliśmy się prędzej po niezliczonych zakrętach Żółtej rzeki, płynącej przez pola pokryte gaolanem, wśród których widać było wioski leżące w gruzach — ślady przejścia wojennej burzy.

Na szczęście *Numer Ósmy* nadspodziewanie prędko powracał do zdrowia. Następnego

rana odzyskał przytomność, tylko był mocno osłabiony. Tak szczęśliwy obrót przypisywałem po części żelaznej jego woli, z jaką walczył z ogarniającą go nieprzytomnością i starannemu pielęgnowaniu, zwłaszcza przez nieznanego Boksera, który nie opuszczał go ani na chwilę.

Nazywał się on *Kai-fong*, jak mi powiedział: ale o swojej przeszłości nie chciał dać żadnych wyjaśnień. Że nie należał do sprzysiężenia Bokserów, dowiódł nam pokazując, iż nie ma na pierśiach specjalnej blizny, stanowiącej ich oznakę. Zrzucił też z pośpiechem zaszczytne godła: czerwone opaski i szarfę, i pozostał w zwyczajnej, niebieskiej szacie chińskiego kulisa. Jego łagodna uśmiechnięta twarz, gotowość do wszelkich posług i poświęcenie, z jakim pielęgnował rannego, sprawiły, że nie nalegaliśmy o wyjaśnienia.

Jedno mnie tylko zastanawiało, że chociaż załoga naszej łodzi przyjęła go bez trudności, biedny Chińczyk, którego zrobiliśmy kapitanem, okazywał mu wyraźną niechęć. Przypuszczałem, że może obawiał się zamiarów Kai-fonga co do łodzi, której sam z taką uporczywością bronił od *cudzoziemskich dyabłów*.

Numer Ósmy po odzyskaniu przytomności, uważał obecność Kai-Fonga przy sobie za coś zupełnie naturalnego, przyjmując jego usługi, jakby mu się z prawa należały. Wkrótce też zaszło zdarzenie, które odwróciło naszą uwagę od Kai Fonga w inną zupełnie stronę.

Chcąc uniknąć nowej zasadzki, rozporządziłem tak naszymi kulisami, że posuwaliśmy się bez przerwy, dniem i nocą. W dzień dawałem im dłuższe wypoczynki, a w nocy zmieniałem holowników, pilnując ażeby zlurowani mogli się przespać i zjeść do syta.

Konwoje, płynące w dół rzeki, zawiadomiły nas, że minęły się z dużą dżonką, płynącą szparoko pod austriacką flagą, ale z załogą wyłącznie z Chińczyków złożoną. Sądząc ze wskazówek, nasza łódź mniejsza i lżejsza, płynęła jeszcze prędzej, i odległość między nami zmniejszała się ciągle. Dodawało to nam zapału i wpływało zba wiennie na powrót do zdrowia *Numeru Ósme*go. Tylko Kai-Fong łąał mnie surowo, że moją rozmową podniecam chorego, i obmywał mu głowę zimną wodą, tak lekko i zręcznie, jak najlepiej wyćwiczona dozorczyini.

„Zły nie ujdzie nigdy kary“ —
Mruczy—, „to sądzono tobie.
Innym szkodę niesły czary,
Dzisiaj szkodzą twej osobie.“

Król przed pałac zdążył właśnie,
Kot się w ukłon piękny stroi:
„Pan mój, zanim słońce zgaśnie,
Prosi was do swych pokoi.“

„Co, i zamek twój!“ — król woła,
„Ano zwiedzę go z ochotą.“
Wchodzą; błyszczą dookoła
Samo srebro, samo złoto.

Zły czarownik czekał gości,
Więc do jadła stół nakryty,
A przysmaków i słodkości
Zapas na nim był obfity.

Kot do uczyty wszystkich wiedzie,
Idą razem z wielkim szykiem:
Z kotem w butach król na przedzie,
A królowa z młynarczykiem.

Król, ujęty bogactw siłą,
Widząc złoto i wieczerzę
I postawę chłopca miłą
(Bo był piękny, mówię szczerze),

Wnet zaręczył go z królową,
A za tydzień były gody.
A na uczcie tej napewno
Było wina, jako wody.

Wtedy przyszedł kot przed króla
Mowi: „Władco, daruj zdradę
Mój pan nie jest księżę Lula...
Patrz! mam lica z twój blade.“

Król się zrywa rozgniewany
Wściekłość jego wzrok wyraża:
„Zdrajco! któż był nim nazwany?“
— „Ot chudzina, syn młynarza...“

Lecz mi królu daruj winę,
Chłopiec był to pokrzywdzony,
A tak dobry, że niech zginę,
Jeśli nie wart jest korony.

Bracia mienie mu zabrali,
Nędza go ścisnęła blada...
Dobroć twoją naród chwali.“
I przed królem plackiem pada.

Wtem nadeszli państwo młodzi,
Proszą: „Ojczy, nie karz kota!“
Gniew królewski się łagodzi,
Oko iskier już nie miota.

„No, daruję ci, zuchwały;
No, unikniesz głowy ścięcia,

Bo masz rozum niebywały
I miłego dał mi zięcia.“

Zamieszkali państwo młodzi
Pałac, zdała dworskiej wrzawy.
Odpoczywał kot dobrodziej,
Łowiąc myszki dla zabawy.

Zofia Wł. Zacharkiewicz.



J. PIASECKA.

Dzielny Jędrus.

(Ciąg dalszy).

Jędrus włożył czapkę barankową i wybiegł z izby! — Deszcz jesienny ciął go w twarz, wicher świszczał. Krasula w oborze ryczała z głodu!

Powrócił z bochenkiem chleba, a Janowa do mleka dodała jeszcze garść drobnej kaszki.

Kiedy mała Kasia podjadła i uspokoiła się, starsze dzieci zwróciły się do dziadka:

— Co nam dziadunio miał powiedzieć dobrego, co to za dobra nowina?

Stary gajowy odłożył chleb.

— A to widzicie moje dzieci, musimy zaprowadzić inną gospodarkę, bo taka jak dotąd, to na nic. Rok ciężki, zboża przepadły, wskutek wylewów rzeki i deszczów, zima szykuje się mroźna. Z tej pensyi, jaką pobieram nie wyżywiłbym siebie, was i krowy. — Krasulę więc sprzedamy!

Jędrus zerwał się na równe nogi.

— Krasulę sprzedać chcecie dziadku? niech Bóg broni, toć to takie pocziwe to nasze bydłatko.

Dziadek się roześmiał.

— Powiadasz, że pocziwe, a przed chwilą narzekałeś na nią, że pyszna, grymasna.

Chłopak poczerwieniał.

— Ech, tak się tam powiedziało, ale zawsze szkoda puszczać do ludzi, dawniej nas żywiła.

— Tak, dawniej, ale czasy się zmieniły. Dzisiaj jest dla nas ciężarem, a nie pożytkiem, niema jej czem żywić, sprzedać musimy.

Jagusia pociągnęła nosem, bo jej się na płacz zbierało.

— A jakby dziadunio dawała tyle mleka co dawniej?

— Ech, jak jej się odpowiednio nie karmi, to dawać dużo nie może, to niema co gadać, moje dziecko. We wtorek zaprowadzę na jar-

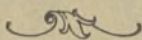
mark i sprzedam. Dadzą mi pewnie ze czterdzieści rubli. Zapłacę dług, com jeszcze winien za pogrzeb waszej matki, a za resztę kupię kozę.

— Małe stworzenie prędej wyżywić można, bo zje byle co i kwaśną trawę, której krowa nie chce i porosty leśne. Kasię nam wyżywi, o co nam głównie idzie.

Dzieci spuściły głowy, dziadus miał słuszość, ale jakże im żal krasuli. Taka oswojona, łagodna, dobra krowa, razem z niemi wychowała się. Jaka szkoda, że inaczej złemu zaradzić nie można!

— A gdyby tak dziaduniu— rzekł nieśmiało Jędrus— Jan dał nam trochę siana, Bartłomiej słomy na sieczkę, pan dziedzic potrawu lub kartofli.

(d. c. n.)



Zadania i łamigłówki.

Zagadka w obrazku.



Gdzie jest pastuszka tych gęsi?

ZAGADKA.

ul. Em. L.

Dano mi imię ptaka, co ma długą szyję.
Wiecznie stoję nad wodą, ale jej nie piję.
Wszelako nie nawykłem na mój los się zalić,
Bo mogę się tu nawet mym krewnym pochwalić,
Towarzyszem królewskim, co choć nie był z dworzan,
Znanym był on od Niemców, znanym od Pomorzan.
Bo towarzyszył zawsze wiernie do zwycięstwa,
Królowi, co nie z wdzięku słynął, ale z mężstwa.

Łamigłówka w trójkącie.

ul. Gołąb pocztowy.

- 1) Zastąpić kropki li-
 - 2) terami, aby rząd pierw-
 - 3) szy oraz pierwsze litery
 - 4) wszystkich rzędów w piono-
 - 5) wym kierunku czytane złożyły
 - 6) nazwisko pisarza polskiego z XVI-go
 - 7) wieku.
 - 8) Znaczenie wyrazów: 1)... 2) Naród bi-
 - 9) blijny. 3) Imię żeńskie. 4) Poeta polski
 - 10) z XIX-go wieku. 5) Miasto powiatowe w gub.
- Warszawskiej. 6) Poeta polski z końca XIX-go wieku.
7) Miasto słynne bitwą Napoleona I-go. 8) Rzeka w Europie środkowej. 9) Wykrzyknik. 10) Spółgłoska.

FIGIEL.

Jak napisać tysiąc cyframi bez zer.

Rozwiązania do № 21-go.

Łamigłówki kombinacyjnej: Czynność zadanego przesunięcia samochodów można podzielić na pięć części, a więc:

1-o. Samochód Nr. 2 przeprowadzamy do środkowej części wozowni, a samochody Nr. 5 i Nr. 6 przesuujemy ku górze (jak się przedstawia na podanym planie)— Nr. 5 na miejsce początkowe Nr. 2-go, a Nr. 6 stawiamy o jedno miejsce niżej.

2-o. Samochód Nr. 2 przesuujemy na początkowe miejsce Nr. 6-go, w środku dolnego przedziału staje po dawnemu Nr. 5 nad nim Nr. 1, a przy przesuowaniu samochód Nr. 6 zatrzymaliśmy w środkowym załamie wozowni.

3-o. Samochód Nr. 6 przeprowadzamy na początkowe miejsce Nr. 1-go, Nr. 5 na początkowe miejsce Nr. 2-go, samochód Nr. 4 stawiamy niżej Nr. 5-go a Nr. 1 umieszczamy w środkowym załamie.

4-o. Samochód Nr. 1 pozostawiamy na początkowe miejsce Nr. 4-go, Nr. 4 do załamu wozowni, Nr. 5 na swoje początkowe miejsce, Nr. 3 tuż nad nim.

5-o. Samochód Nr. 4 przeciągamy na początkowe miejsce Nr. 3-go, Nr. 3 chwilowo stawiamy w załamie, Nr. 5 umieszczamy na miejscu dawnym Nr. 2-go, Nr. 3 na początkowym miejscu Nr. 5-go.

Zadanie wykonane i samochody stoją w wozowni w następującym porządku: u góry — Nr. 6, Nr. 5 i Nr. 4; u dołu — Nr. 1, Nr. 3 i Nr. 2.

Rebusu-figla: Samolub.

Arytmogryfu kryształowego:

T
T u r
T u r e k
r e k
k



Następnego wieczoru, wpłynąwszy na zakręt rzeki, która była coraz węższą i bystrzej płynęła, wpadliśmy prawie na dużą dżonkę, osiadła na błotnistej mieliźnie. Nie było na niej żadnych świateł, i uderzenia uniknęliśmy jedynie dzięki zręczności naszego chińskiego kapitana. Pomimo, że podpłynęliśmy pod samą dżonkę, nie było na niej widać śladu życia.

Kazałem kulisom zwolnić biegu i przedsięwziąłem wszelkie środki ostrożności na wypadek napadu. Zawołałem ludzi na pokład i kazałem zarzucić kotwicę na środku rzeki, obudziłem towarzysza i powiedziałem, jakie jest położenie. Widząc, że może już siedzieć, i utrzymać w ręku rewolwer, zdjąłem kurtkę i buty, i spuściłem się do błotnistej wody.

Zmierzch prędko zapadał. Postanowiłem obejrzeć tajemniczy statek, bo czułem, że tam znajdę wyjaśnienie naszego położenia. *Numer Ósmy*, pozostawiony pod opieką wdzięcznego kapitana i Kai-fonga, był już w stanie czuwać na pokładzie, podczas mojej nieobecności.

Kilkoma rzutami, unoszony pomocnym prądem, dopłynąłem do tajemniczej dżonki i w mgnieniu oka wdrapałem się na pokład, przygotowany na nieprzyjacielski odzew i na ostrze pugińału wymierzonego na mnie... Ale nic się nie porużyło: na dżonce panowała grobowa cisza..

Posunąłem się z niezmierną ostrożnością i stanąłem przejęty zgrozą! Przy bładem świetle księżycy ujrzałem na pokładzie leżące nieruchomo ciała Chińczyków... Przez chwilę zaważałem się czy iść dalej, obawiając się zasadzki — ale ciemne plamy na podłodze przekonały mnie, że stoję w obce martwych wrogów. Zginęli wszyscy, pomordowani...

Ale kto był mordercą? Postąpiłem kilka kroków i schyliłem się. Ciała były strasznie poranione, bronią sieczną, nie kulami. Wyraźnie Chińczycy zostali zaskoczeni znienacka. To tylko było pewnem, że nikt nie pozostał przy życiu.

Zacząłem obszukiwać ciała zabitych, mając nadzieję odnalezienia talizmanu... Ale po chwili wzdrygnąłem się, i zaprzestałem poszukiwać; ktoś inny przede mną już się tem zajął, i wykonał to z brutalnością do jakiej ja nie byłbym zdolny... Straciłem wszelką nadzieję, ale przecucie mówiło mi, że talizman jest tu gdzieś w poblżu...

Miałem już powracać na naszą łódź i rzuciłem ostatnie wejrzenie na wybrzeże, rozciągające się poza błotnistą mieliżną na której ulgnęła dżonka. A może kto z załogi zdołał umknąć? Może warto wyjść na wybrzeże i poszukać śladów?

(d. c. n.)



LEON RYGIER.

W noc świętojańską.

BAJKA.

OBRAZ PIERWSZY.

Wieczorna się przybliży chwila,
Wisła ku morzu z szumem płynie,
Słońce ognistą skroń pochyla,
By ją zanurzyć w fal głębinie.

Oczarowane słodką ciszą
Na brzegu rzędem wierzby stoją —
I lekko z wiatrem się kołyszają,
Patrząc w odbitą postać swoją.

I nagle, nagle — z kreciej nory
Dwa małe gnomy skaczą żwawo...
Odświeżne, barwne ich ubiory
W zieleni trawy lśnią jaskrawo,
Na wiosnę się rozwiły brody,
Radością im się usta śmieją —
A oczy czarne i jagody —
Wesołym blaskiem promienieją.

Gnom pierwszy.

Już się kończy dzień —
Już się kończy dzień —
Już niedługo zgasną zorze,
Ziemię skryje cień...

Błyśnie gwiazdek rój —
Błyśnie gwiazdek rój —
Mała Kasia rzuci w wodę
Barwny wianek swój..

Gnom drugi.

Czy napewno tu przyjdzie?.. kto ci mówił o tem?

Gnom pierwszy.

Posłałem do wsi Łątkę... Wróciła z powrotem
I mówi, że widziała, jak na progu chaty
Biedna Kasia sierotka w wieniec wiła kwiaty...

Gnom drugi.

Smutna była?

Gnom pierwszy.

Jak zawsze: we łzach miała oczy...
Nie wie nic, gdzie wianeczek jej dziś się potoczy...

Gnom drugi.

A mnie Żuk także wczoraj przyniósł wieści o niej...
Widział ją w polu... Siadła przy dzikiej jabłoni
I łamiąc małe rączki, wołała żałośnie:
Mamo, weź mię do siebie!

Gnom pierwszy.

W samej życia wiośnie
Taki smutek... Oj, bo też zła ta jej macocha:
Więcej, niżli sierotę, swego pieska kocha...

Gnom drugi.

No—skończą się jej smutki... radość je nagrodzi..
Ale skryj się prędzej... Patrz—już ktoś nadchodzi..

I oba gnomy, jak zające,
Przysiadły w kucki za pień drzewa..
Tymczasem słyhać, jak na łące,
Wesołych dzieci rzesza śpiewa...

Chór dziewcząt.

Hej — dana, dana —
Hej — dana, dana, —
Oto wigilja
Świętego Jana...

Oto zdaleka
Mieni się rzeka..
Hej—bystra woda
We świat ucieka...

Hej — bystra woda
Ginie w lesie..
Gdzie też wianuszki
Nasze poniesie?..

Takeśmy długo
Plotły je w domu —
Gdzie je poniesie
I odda komu?..

I tak — trzymając się za ręce —
Dziewczęta idą barwną rzeszą,
Niosą uwite z kwiatów wieńce
I na brzeg Wisły żwawo śpieszą..
A oba gnomy z swej kryjówki
Oczkami patrzą w mrok ciekawie —
I, jak dwa kwiaty, małe główki
Chwieją się w lśniącej rosą trawie...

Gnom pierwszy.

Czy widzisz Kasię między niemi?

Gnom drugi.

Mów ciszej, jeszcze... nas spostrzegą..

Gnom pierwszy.

Zioła kołyszają się przy ziemi,
Głos tłumią — nie bój się niczego.

Gnom drugi.

Nie — Kasi niema... Może zgoła
Nie przyjdzie... Co to wszystko znaczy?..

Gnom pierwszy.

Macocha jej nie puszcza z sioła..
Wiesz — płakać mi się chce z rozpaczy!

Gnom drugi.

Wszystko tak mądrze urządzone!..
Lecz cicho... słyszę jakieś kroki..

Gnom pierwszy.

Popatrz-no dobrze w tamtą stronę,
Bo ja nie widzę nic krom mroki..

Dwie główki w prawo się zwróciły
I wdał spojrzęło czworo oczu —
I nagle — w dali głos się miły
W błękitnem rozległ gdzieś przezroczu.

Śpiew Kasi.

Oj — dolo ty moja,
Dolo opłakana!..
Wiłam-ci wianuszek
Od samego rana..
Wiłam-ci wianuszek —
Macocha bronila..
Sierocemi łzami
Kwiatki-m pokropiła..

Rzucę je do wody,
Rzucę je do rzeki —
Niechaj te łzy moje
Płyną w kraj daleki..

Niechaj razem z wiankiem
Zła doła przepadnie,
Niech smutek sierocy
Wisła skryje na dnie..

Gnom pierwszy.

Idzie sierotka!

Gnom drugi.

Nie drzyj-że się!

Gnom pierwszy.

Idzie sierotka ..

Gnom drugi.

Wianek niesie..

Gnom pierwszy.

Patrz, jaka smutna..

Gnom drugi.

Jaka blada..

Gnom pierwszy.

Patrz — słońce zaszło..

Gnom drugi.

Noc zapada..

Słońce się skryło za gaje
Na brzegu sierotka staje.

(d. c. n.)

Nasze prawa i obowiązki.

List XII.

Winnica w maju.

Cioteczko moja! Wiesz od Stasia, dlaczego nie pisałam tak długo, więc nie potrzebuję już tłumaczyć się więcej. Choroba mamy tak mnie zgnębiła i pochłonęła, że nie mogło być mowy o swobodnych listach, jakie do Ciebie pisuję. Dziś, chwala Bogu, złe minęło, mama czuje się

zapełnie dobrze, tylko siły nie wróciły jeszcze, i po nie to właśnie pojechała przed tygodniem z Irenką, aż pod włoskie niebo.

Pokazało się, że po czternastu nocach nie spanych zupełnie, po trzech tygodniach szarpającego niepokoju i ja potrzebowałam trochę czasu, by wrócić do równowagi. Dziś fizycznie czuję się zupełnie dobrze, tylko w głowie luźną jeszcze różnorodną myślą, w sercu zrywają się uczucia.

Pamiętasz Ciociu, co pisałam w pierwszym liście moim, że owa dawna, z przed dwóch lat choroba mamy tak bardzo mnie zmieniła. Dziś chcę jaśniej powiedzieć to, o co tylko potrąciłam wówczas, chcę mówić tembardziej, że jest to bolesny wyrzut mej duszy, który nawet wspomnieniem wiecznie mnie trapi.

Powiedz, Ciociu, ty, co tak dobrze znasz młode dusze, dlaczego my, dziewczęta, przechodzimy nieraz fazę nieufności do rodziców, fazę dziwnego zaślepienia w sobie. Mamy złudzenia, żeśmy duchowo nieskończenie wyższe od otoczenia, że nikt nas nie zna i nie rozumie, a gdyby nawet znał, to nie jest w stanie odczuć porywów naszych młodych dusz! W poczuciu własnej wyższości zamykamy się w sobie, a że niedoświadczone i chwiejne potrzebujemy koniecznie podpory i rady. Zwracamy się ku różnym osobom spotkanym na drodze życia, darząc je zaufaniem i szczerością, których odmówiliśmy matce.

Widzisz Ciociu ja przechodziłam tę fazę— a potem kiedy przyszła ta ciężka choroba mamy, kiedy poczułam, że mogę ją stracić na zawsze, że mogę jej „nie mieć“, wtedy dopiero zrozumiałam, czem ona jest dla mnie, zrozumiałam jaką robię jej krzywdę, zasłaniając duszę swoją przed nią, dając innym z siebie pierwsze budzące się myśli, najgorętsze porywy serca, to co było prawem, własnością, przynależnością wyłączną.

I stało się to, że mama rzeczywiście przestała czytać w duszy mojej. Nie mogła mnie zrozumieć i odczuć, bo zamknęłam się przed nią. Pierwsze niezrozumienie wywołało drugie i szło tak dalek wolno, systematycznie; nieopatrzenie rósł dzielący nas przedział— a ja tymczasem wszystkie wolne chwile spędzałam z panną Jadwigą, nauczycielką historii, którą robiłam swoją powiernicą i przyjaciółką.

Dzielne to było i dobre stworzenie i to całe moje szczęście; jednak widocznie za młoda sama była na to, żeby zrozumieć nasz stosunek żeby ocenić, że stanęła między mną a matką i mnie na to oczy otworzyć. Dlatego poza miłym wspomnieniem, jakie jej zachowałam, pozostał także żal w sercu do niej. Dziś wiem, że nie potrzebowałam szukać gdzieindziej, bo w duszy mamy znajduję wszystkie skarby rozumu, uczucia a nadto pobłażliwości i doświadczenia życiowego, ale żeby się o tem przekonać musiałam sama zwrócić się ku niej. dać jej poznać nie tylko moje zasadnicze myśli, ale wszystkie najniedorzeczniejsze, szalone porywy niedowarzonej głowy.

Mama często narzeka, że ma „narwaną“ córkę, ja -- że mam „zacofaną“ matkę, ale żebyś wiedziała Ciociu jak nam nieskończenie do-

brze w tym naszym szczerym przyjaznym stosunku, ile on daje nam szczęścia!

Cioteczko! daj burę Zośce! Zapatrzona we własne sprawy zapomniałam, że dzień świętej Zofii dawno zgasł już na niebie, że wtedy nie dałam ci żadnego widomego dowodu pamięci i przywiązania. Mówiła mi mama, że cię w młodości nazywano „kwiatem jabłoni“ więc ja nie mając ciebie przy sobie, gałązce „oliwki“ mówiłam, że cię kocham całą głębią duszy, że mam serce przepełnione pragnieniem i wdzięcznością. Wdzięcznością nie tylko za to czem dla mnie jesteś, ale za te perły rozumu i serca, któremi znacysz drogę twego życia, za ukochanie serdeczne. którem darzysz nasze młode dusze. Staś powtórzył mi kochane twoje słowa, za które rączki twoje okrywam pocałunkami, ale mam niejaki wątpliwości czy ostatnie życzenie dla mnie spełni się tak prędko.

Pytasz, Ciociu, jaki jest pan Karol? Dziś nic ci jeszcze na to nie odpowiem, przypatrzę mu się lepiej. Są chwile, w których go nie rozumiem, ale i wtedy wydaje mi się sympatyczny. Stanowi on do pewnego stopnia kontrast Stasia—choć przekonaniem i zapalem tacy są jednacy. Żal nam było wszystkim jak odjechał i z przyjemnością myślimy, że w porze polowania na kuropatwy przyjedzie na dłużej.

Żegnaj mi Ciociu i pisz prędko do twej
Zośki.



ZE ŚWIATA.

Wystawa Maryańska. W dniu 30-go maja otwarta została w muzeum Przemysłu wystawa Maryańska, to jest wystawa dzieł sztuki i wszelkich przedmiotów poświęconych czci Najświętszej Panny Maryi. Zbiór jest niezmiernie okazały i zawiera mnóstwo cennych przedmiotów historycznych. Dla tego radzimy wszystkim naszym czytelnikom będącym w Warszawie zwiedzenie tej wystawy, opis jej podamy wkrótce.

Wielka bitwa morska pod Cushimą. W dniu 27 i 28 maja r. b. w cieśninie Koreańskiej między wyspą Cushimą i Japonią odbyła się jedna z największych bitw morskich w dziejach świata. Jak wiadomo, w październiku r. z. wypłynęła z morza Bałtyckiego pod dowództwem admirała Rozestwieńskiego wielka eskadra rosyjska, złożona z siedmiu pancerników i kilku krążowników i kilkunastu mniejszych statków wojennych. Część tej eskadry przepłynęła przez Suez, część opłynęła Afrykę dookoła. Po dłuższym postoju przy wyspie Madagaskarze, obie części ogromnej eskadry najpomyślniej dostały się na morze Chińskie i tam połączyła się z inną eskadrą admirała Niebogotowa, która wypłynęła później. Tak więc połączone eskadry w liczbie około czterdziestu okrętów, objechawszy

szczęśliwie pół świata i przełamawszy wielkie trudności w otrzymywaniu i ładowaniu węgla, postanowiły śmiało przerznąć się do Władystoku najprostszą drogą.

Korzystając z mgły, przepłynęły już część cieśniny Koreańskiej, gdy napażnięte zostały przez trzy eskadry japońskie: admirałów Togo z zachodu, Urju ze wschodu i Kamimury z południa. Wywiązała się mordercza bitwa, w której flota rosyjska, wyczerpana długą podróżą morską, nie mogła dotrzymać placu świeżej flocie japońskiej. O ile wiemy do chwili pisania tych słów — admirał Rozestwieński otrzymał ciężką ranę i wraz z innymi admirałami dostał się do niewoli, większość pancerników zatonała lub została ujęta, a reszta okrętów rozproszyła się w różne strony. Jeden krążownik „Almaz” zdołał dotrzeć do Władystoku.

Ładowanie węgla. Zapewne wielu czytelników „Wieczorów”, słysząc o przeładowywaniu węgla na pełnym morzu z okrętów transportowych na wojenne krążowniki lub pancerniki, zadawało sobie nieraz pytanie: w jaki to sposób się odbywa? Pojęcie dokładne o tem daje rycina w dzisiejszym numerze. Widzimy na niej dwa okręty połączone tak zwaną kolejką napowietrzną. Węgiel na transportowcu wciąga się windą na wysoki pomost i stąd w odpowiednich wagonikach z blokami u góry zsuwa się po grubej linie żelaznej na okręt wojenny. Tam wyładowują węgiel i odsyłają wagonik po drugiej niżej umieszczonej linie.

By zaś w czasie przeładunku okręty stale znajdowały się na jednakowej odległości, łączy się je żelazną sztabą. Rozumie się przeładowywanie węgla przy burzliwym morzu odbywać się nie może.

Statek i wieloryb. Zeszłej jesieni, w Czemułpo, porcie koreańskim, majtek trzymający straż na japońskim statku wojennym ujrzał wieloryba. Pewny, że zwierzę usunie się przed okrętem, nie zaalarmował załogi. Ale stało się inaczej. Wieloryb nie ustąpił, a statek pędzący całą siłą pary, przeciął go na dwoje. Rekiły miały ucztę nieładą, a morze zabarwiło się krwią wielorybią na bardzo znacznej przestrzeni.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Trafne rozwiązania łamigłówek z ostatnich numerów nadesłali: Sarenka, Bogimi kwiatów, Dzidzia, Mimoza, Tęsknota, Stefcio Olszewski i Jasio Rz.

Zadania i łamigłówki, nadesłane przez Orła B., Żuka z nad Murafy i Halną Mglę zaliczone zostały do druku.

Żabce z nad Rosi. Prosimy jeszcze o parę dni cierpliwości.

Niedźwiedziowi. Żądane numery pod wskazanym adresem wysłaliśmy.

Heli D. z Zakopanego. Za każdy z przesłanych teraz i poprzednio numerów należy się po 10 kop.

Żukowi z nad Murafy. Za-tosowaliśmy się do twego zyczenia. Szanownej Mamie twojej przesyłamy wyrazy szacunku, a Sikorce i Pliszce z nad Murafy—pozdrowienia.

Wymiana kart pocztowych.

(Za pozwoleniem rodziców lub opiekunów)

Wanda Bortnowska (wieś Rajki, st. Krzyżanówka, Pod. gub.) życzy sobie wznowić korespondencję z Nawojką z nad Huczwy.



MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH

otrzymał **NOWOŚCI** na sezon bieżący

ANGIELSKIE, FRANCUZKIE i KRAJOWE

z czem się poleca względem Sz. Publiczności

oraz **Szkoła Kroju i Szycia**

A. TRZESZCZKOWSKIEGO

112—

w Warszawie, **Aleja Jerozolimska № 21**, róg Brackiej.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Konkurs rysunkowy (z ryc.) — Przygody Imię Pana Mikołaja, przez Z. Morawską. — Czworolist czyli jednoją-goda przez B. Dyakowskiego. — Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego (Bartosz Paprocki) p. M. Dynowska. — Ładowanie węgla na okręty wojenne na morzu (ryc.) — Talizman władzy, przez Wawrzyńca Zeal'a (przekład M. G.) — W noc świętojańską (wiersz) przez Leona Rygiera. — Nasze prawa i obowiązki. — Ze świata. — **Dodatek:** Grzebień Maniusi. — Baśń o kocie w butach, przez Zofię Zacharkiewiczównę. — Dzielný Jędrus, przez J. Piasecką. — Zadania i łamigłówki.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Wydawczyni **Marya z Chomentowskich Balińska.**